Tylko z biletem

Lotnisko Burgas jak co roku przyjmowało samoloty z turystami, którzy zapragnęli spędzić wakacje nad Morzem Czarnym. Przybywali przede wszystkim z krajów bloku wschodniego, ale od urlopów w Bułgarii i wygrzewania się na słynnych „Eva pljaż" nie stronili też obywatele innych krajów. W pobliskim Słonecznym Brzegu można było spotkać wielu mieszkańców Republiki Federalnej Niemiec. Lotnisko wciąż było czynne, ale trwały intensywne prace przygotowawcze do jego modernizacji i rozbudowy. Polski eksporter robót budowlanych – warszawska Centrala Handlu Zagranicznego – już zgromadził na lotnisku maszyny budowlane, a do hotelu robotniczego właśnie dojechała większość pracowników z ponad stuosobowej załogi.

Było późne lato, koniec sierpnia, kiedy w samo południe otworzyły się drzwi biura młodego polskiego pełnomocnika na lotnisku Burgas. Ku jego zaskoczeniu stanęła w nich siostra jego teściowej, mieszkanka Giżycka, uroczego miasteczka z Krainy Wielkich Jezior. Takiego niezapowiedzianego gościa w nagrzanym słońcem kontenerze, stojącym na płycie lotniska, z pewnością nie mógł się spodziewać.

Po standardowym:

– Dzień dobry Ciociu! – padło pytanie zadane mimo woli:

– Co Ciocia tu robi? – a w domyśle:

– A skąd się u licha tutaj wzięła, jak mnie znalazła i czego może chcieć? Na odpowiedź nie musiał długo czekać, bo ciocia Halina, pani dobiegająca sześćdziesiątki, dzielnie popijając gorącą kawę w niemiłosiernym upale, rozpoczęła swój monolog. Przyjechała cztery dni temu na dwutygodniowe wczasy do Słonecznego Brzegu. I tego, co przeżyła, jak twierdziła, nie da się spokojnie opowiedzieć.

Okazało się, że za dziesięć dni ma wracać pociągiem do Warszawy i myśl o tym nie pozwala jej odpoczywać, opalać się, kąpać i nawet spokojnie spać. Chyba z pół godziny trwało opowiadanie o tym, jakie katusze przeżyła w pociągu podczas podróży z Warszawy do Burgas. Potworny upał w wagonie o mało jej nie zabił. Okna były pozamykane i oczywiście nie było klimatyzacji. Rumuni – prawie, prawie ją doszczętnie ograbili – ale przejrzała ich zamiary i im się nie udało.

Kuszetka była wąska i twarda jak skała. Nieżyczliwi towarzysze podróży nie zlitowali się nad nią i musiała z trudem gramolić się na górne łóżko, wielokrotnie narażając życie.

Szczególnie wtedy, gdy wagon wyprawiał dziwne harce, zamiast majestatycznie podążać do celu. Jazda, z czego wcześniej nie zdawała sobie sprawy, trwała aż 36 godzin i do tej pory,

po czterech dniach, nie może dojść do siebie. Jeden pan chrapał przez całą drogę tak strasznie, że podróżni z sąsiednich przedziałów, by go uciszyć, co chwila walili w ścianę. Brakowało wody i jedzenia, groziła jej więc, jak zagubionemu na pustyni, śmierć w wyniku niechybnego odwodnienia, skrajnego wycieńczenia i niedożywienia.

Pan pełnomocnik słuchał jej monologu, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać. Gdy pani Halina nieco ochłonęła i zrobiła w opowiadaniu przerwę, pan pełnomocnik złożył jej wyrazy gorącego... no może nie w tym upale, ale z pewnością serdecznego współczucia, nieopatrznie zadając kurtuazyjne pytanie:

– Czy mogę Cioci w czymś pomóc?

Nie spodziewał się, że ciocia nie odwiedziła go przypadkiem, a jego pytanie otworzy jej drogę do realizacji z góry założonego celu.

Okazało się, że nie zamierza odbyć podróży powrotnej pociągiem, bo drugi raz takich cierpień nie przeżyje. I oczekuje pomocy. Ma ona polegać na załatwieniu miejsca w samolocie do Warszawy. Drobny problem wynika z faktu, że nie ma pieniędzy na bilet samolotowy oraz, jak dotąd, nie wiedziała jak i z kim go załatwić.

W Słonecznym Brzegu doznała „olśnienia" – przypomniała sobie o nim, mężu córki rodzonej siostry, szefie budowy w Burgas. I pomna przygód na trasie kolejowej, zdeterminowana do granic, wsiadła do autobusu i przyjechała do Burgas. Tak bardzo, bardzo nie chciała wracać pociągiem do Warszawy razem ze swoją, napawającą ją obrzydzeniem grupą wczasowiczów, że sforsowała wszelkie bariery by tutaj dotrzeć.

Pan pełnomocnik zastanowił się przez chwilę. Sprawa wydawała się nie do załatwienia. Znał oczywiście Bułgarkę Jordankę, przedstawicielkę LOT-u w Burgas, więc mógłby z nią porozmawiać. Sięgnął po słuchawkę telefonu i po chwili było wiadomo, że Jordanka poleciała do Warszawy i będzie z powrotem za kilka dni. Po rozmowie z lotniskiem udało się jednak wyjaśnić, że w samolocie odlatującym za jedenaście dni z Burgas do Warszawy jest jedno wolne miejsce. Ale co z biletem? Gdy sprawa braku biletu i środków na jego zakup zdawała się ostatecznie niweczyć plany pani Haliny, pan pełnomocnik „głośno myśląc" wpadł na pewien pomysł. Sam później nie mógł się nadziwić, jak mógł wymyślić coś podobnego.

W szufladzie biurka miał własny bilet lotniczy – zapasowy, imienny, ale bez rezerwacji i w jedną stronę. Bilet, jak to w dobie przedkomputerowej, nie był drukowany. Blankiet biletu wypisany był ręcznie – ołówkiem. Na jego stronach widniało kopiowane na czerwono nazwisko pana pełnomocnika. Pani Halina, zapytana, czy ma odwagę polecieć na nie swój bilet, zrobiła wielkie, pytające oczy. Zaproponował, że zetrze z biletu swoje nazwisko i wpisze jej. Ku swojemu zaskoczeniu usłyszał:

– Zgoda!

– Słowo się rzekło, kobyłka u płotu – rzekł pełnomocnik i wziął się za wycieranie swojego nazwiska. Łatwo nie było. Litery odciśnięte przez czerwoną kalkę, z uporem wycierane gumką, całkiem rozmazały się na bilecie, tworząc wielką czerwoną plamę. W końcu nazwisko pani Haliny zostało wpisane bardzo nieudolnie. Wzięła do ręki tak spreparowany bilet. Widziała, że gumka rozmazała litery i właściwie niewiele było widać. Po chwili niespodziewanie oświadczyła:

– Może się uda. Samolot wylatywał dzień po odjeździe pociągu z jej grupą. Jeśli ma lecieć samolotem, na jedną noc musi sobie znaleźć jakiś nocleg. Bardzo konkretnie pobiegła myślami naprzód.

Wzięła bilet i pożegnali się. Oczywiście pełnomocnik postanowił nikomu o tym nie wspominać. Może ciocia odpuści, pomyślał. Minęło sześć dni, gdy otrzymał pilne polecenie, by w sprawach budowy lecieć służbowo do Warszawy. Przed swoim wyjazdem zdecydował, by ze sprawą biletu zaznajomić Kamilę, pracownicę swojego biura, prosząc ją, by w dniu wylotu zaopiekowała się ciocią. I oczywiście zachowała absolutną dyskrecję. Wyleciał do Warszawy, gdzie dopadło go mnóstwo pilnych spraw służbowych i rodzinnych. Lot pani Haliny całkiem wywietrzał mu z głowy.

Po tygodniowym pobycie w Polsce wrócił do Burgas, i jak grom z jasnego nieba spadły na niego wieści, które od razu przekazała mu jego pracownica podczas powitania na lotnisku. Pani Halina nawet nie wyobrażała sobie, co ją spotka, gdy zgłosi się na lotniskowej odprawie. Gdy podała „swój” bilet Bułgarce – przedstawicielce LOT-u – ta najpierw przez długą chwilę go oglądała, potem przyjrzała jej się uważnie, by wreszcie powiedzieć:

– Pani z tym biletem nie poleci.

Ciocia w płacz. Wciąż nie wiedziała, o co chodzi, gdy usłyszała:

– Nie poleci pani, bo to nie jest bilet Burgas–Warszawa! To jest bilet Warszawa–Burgas!

BURGAS

Pani Halina ryczała wniebogłosy i zalewała się łzami. Całe lotnisko patrzyło na tę dramatyczną scenę. Wreszcie łkając, w pełnej desperacji zawołała:

– Mój pociąg wczoraj odjechał, co ja teraz zrobię?! Mam ten bilet od pana... – tu na szczęście zareagowała Kamila, powstrzymała jej krzyk i odsunęła nieco na bok.

Wszyscy pasażerowie zostali odprawieni wraz z bagażami. Załoga skończyła boarding. Pani Halina dalej zanosiła się płaczem, powodując zamieszanie na lotnisku oraz wywołując konsternację pasażerów i personelu. Kamila zaczęła błagać lotowską urzędniczkę o zmiłowanie – po cichu wyznała, że to ciocia pana pełnomocnika, którego na nieszczęście właśnie nie ma. Silniki samolotu już pracowały, ale Kamila nie ustępowała. Pobiegła do naczelnika lotniska, pana pułkownika Dymitra Iwanowa, który, pomny czekających go wkrótce z Polakami zadań rekonstrukcji lotniska, dla dobra sprawy dziarsko wdał się w negocjacje.

W końcu przedstawicielce LOT-u w *last minute* zmiękło serce i wręczyła pani Halinie boarding pass, zabierając od niej nieszczęsny bilet. Nie dość, że po „przeróbce", to w odwrotną stronę.

Dla ostatniej pasażerki, która na miękkich nogach podeszła do samolotu, obsługa lotniska znów musiała dostawić schody. Nie mogła uwierzyć swojemu szczęściu. Jej podróż dwusilnikowym Iłem-18 do Warszawy potrwała blisko dwie i pół godziny. Gdy wylądowała, pociąg z jej grupą wycieczkową jeszcze nie dotarł do polskiej granicy.

Copyright@Wojciech.Wilczynski